

Janina DURLIK

relacja nagr. maj 1991 r. przez M. Giżejewską

IA

Urodziłam się 15.04.1922 r. w majątku ~~wyemow~~ Sołeczники /woj. wileńskie, pow. mohylewski/. Ojciec był inżynierem rolnikiem. W tym majątku mieszkaliśmy do 28 r. Potem przeprowadziliśmy się do Wilna. Ojciec pracował w lasach państwowych. Po wypadku przeszedł na rentę i przenieśliśmy się do Lidy.

[W Wilnie chodziłam do szkoły podstawowej S. Nazaretanek, a w Lidzie do Gimnazjum Kupieckiego U. Pijarów. "ależałam do harcerstwa, byłam drużynową. W 39 r. po wejściu sowietów byłam na poziomie małej matury, ale nie kontynuowałam nauki tylko zaczęłam pracować.]

W e wrześniu 40 r. aresztowano mnie - właściwie za nic, bo wtedy jeszcze nie było żadnej działalności. Wystarczyła, że byłam harcerką. Sledztwo nie było ciężkie. Siedziałam na Serepowej w Lidzie. Do czerwca 41 r. nie byłam osądzona. 23 czerwca zrobiło się w więzieniu zupełnie cicho- jakby nikogo ze straży nie było. Wspięłam się do okienka w celi i wyjrzałam. Naprzeciwko była wieża strażnicza, na której rzeczywiście nikogo nie było. A do bramy ciągnął tłum z siekierami, łopatami. Na czele tego tłumu stała moja koleżanka gimnazjalna - Danusia Harasimowicz z siekierą w ręku. Zatkło mnie i dopiero po chwili poinformowałam dziewczyny w celi, że rozbijają więzienie. Jedna z więźniarek, starsza pani- emerytowana nauczycielka zaintonowała "Pod Twoją obronę".... Zaczęto rozbijać bramy i drzwi cel. Organizatorami tej akcji byli chyba rodzice aresztowanych. Jedyną ofiarą tego uwolnienia więźniów był ojciec dziewczyny, która ze mną siedziała - Anki Górskiej. Wrócił, żeby zobaczyć, czy ktos nie został w karczerze. A po 2 godzinach wrócili sowieci i tego pana zastrzelili.

Na drugi dzień weszli Niemcy. [W 1941 r. zostałam zaprzysiężona do ZWZ, a w listopadzie 42 r. dostałam przydział do "Sawy" /Bogusław Stawowski/ - komendanta sekcji organizacyjnej. Byłam tam łączniczką i opiekowałam się skrytką w specjalnie wynajętym mieszkaniu, gdzie się

zameldowałam. Przez to mieszkanie wpadłam. Pewnego dnia zastałam tam jeńca wojennego, który był kierowcą u Niemców. Po moim przyjsciu od razu wyszedł. Właścicielka mieszkania /Jadwiga z synem/, która zresztą też była zaprzysiężona, zaczęła tłumaczyć, że on tylko przyszedł drzewo jej porąbać i ona dała mu jesć. Po raz drugi też go zastałam, więc skrzynka ta była spalona. Ten człowiek zmusił ją chyba do napisania donosu na mnie.

Aresztowali mnie na ulicy w lipcu 44 r. "atrzymał mnie żołnierz pod pretekstem sprawdzenia dokumentów i zaprowadził na posterunek. W pokoju przy biurku siedział człowiek o charakterystycznej znanej mi twarzy - blondyn o ewidrujących oczach. On mnie też poznał, powiedział, że my się chab znamy. Żołnierz przyniósł spis wszystkich aresztowanych z 40 r., sprawdził, że ja też byłam na tej liście. Okazało się, że ten człowiek był sekretarzem naczelnika NKWD /Borowikowa/, który w 40r. prowadził śledztwo. Teraz on był naczelnikiem. Nazywał się Łyszkow..

Po normalnych formalnościach kazał mnie zaprowadzić do piwnicy w prywatnym domu /więzienie było spalone/. Potem przeniesli mnie do aresztu milicyjnego. Na śledztwie było zwyczajnie: w nocy, z wymyslaniem, biciem pejczem. Nie było jakichś wyrafinowanych tortur, ale bicie i znęcanie psychiczne było. W dzień nie wolno się było położyć, więc człowiek był wykończony. Najlepiej było nic nie mówić, albo podawać nazwiska nieżyjących osób. W celi też nie należało nic mówić, bo zawsze ktos donosił. Było nas w celi cztery, w tym Rosjanka, która była wywieziona do Niemiec i za to aresztowana. Ona napewno donosiła - o wszystko się wypytywała. "a nieposłuszeństwo w czasie śledztwa /albo milczałam albo mówiłam bzdury/ miałam karcer - raz 7 dni, raz 17. Od siedzenia na cemencie miałam 38 wrzodów na pośladkach, plecach i nogach.]

Po bitwie pod Surkontami aresztowano wiele osób: Ankę Górską z Baranowicz, Igę /Danke/ Howorko, jej męża - Jurka Orychno, Zosię Andruszkiewicz i inne. Siedziały w różnych celach. "e mną siedziała Muszka Stefańska spod Nowogródka. Siedziała też z nami pani Michalska, bardzo miła starsza /ok. 70-ki/ pani. Śledczy nazywał ją "babuszką". Podejrza-

na była o to, że karmiła partyzantów. Ponieważ bolały ją nogi i nie mogła chodzić, więc na śledztwo przychodziło po nią 2 żołnierzy i brali ją pod rękę. Któregos dnia wychodząc z celi powiedziała: "Dzisiaj kończę śledztwo". I rzeczywiście, po pół godzinie otwierają się drzwi i żołnierz wpycha ją do celi z wyzwiskami. My - zdziwione, bo zawsze byli wobec niej tacy grzeczni. Ona z figlarnym wyrazem twarzy opowiedziała nam, że sama doprowadziła do zakończenia śledztwa, bo siedząc na kanapie w pokoju śledczego w pewnym momencie zrobiła pod siebie siusiu. Śledczy zdenerwował się i zakończył śledztwo. Sama to sobie wszystko zaplanowała. Dali jej jednak 25 lat. Po wyroku przyszła do celi i mówi: "jak ja się cieszę. Jaki ten Stalin dobry. Pomyślcie dziewczynki, ja mam teraz 70 lat, jeśli mam odsiedzieć cały wyrok, to dożyję prawie stu lat. Kto by mi mógł to zrobić jak nie Stalin".

"Tedy też był aresztowany "Bez" - od "Krysi" i swoim zwyczajem uciekł /w styczniu 44 odbijał z oddziałem więzienie w Lidzie, z którego wyszło wtedy ok. 90 osób. On był komendantem tego oddziału. Ja byłem wtedy w 2-jej linii jako łączniczka/. Aresztowali go w 44 r. - już po moim uwięzieniu. Opowiadał mi wszystko na Kołymie - w Magadanie. nazywał się Alfred Fryjas. Przedtem 3 razy uciekał, w końcu trafił do karnego obozu /nie pamiętam gdzie/, w którym nie miał szans przeżycia, bo był z najgorszymi kryminalistami. Udrąbał sobie palec u lewej ręki trafił do saneczki i dzięki temu uratował się. Ciągłe dodawano mu po 5 lat. Lekarz zatrudnił go przy szpitalu, potem trafił na etap do Magadanu. Tam był tylko na punkcie przesylnym. Wysłali go do Polski w 54 r. Ja go spotkałam tuż przed moim wyjściem na wolność /w 53r./

Jak przychodził nowy etap, to zawsze pytalismy nariadczyka Zajcewa czy są jacyś Polacy. I on raz wymienił Fryjasa /którego znałam z konspiracji/, Poprosiłam Zajcewa, żeby przyprowadził go do saneczki, tam się spotkalismy. Askoczony był bardzo widząc mnie w Magadanie. Dużo się nagadaliśmy. W Polsce jeszcze siedział w UB, potem mieszkał w Aliborku /ma 4 córki/. Po 80-tym roku wyjechał do RFN z całą rodziną i tam podobno zmarł. Pierwotnie nie chcieli go przyjąć do AK, bo miał ojca Niemca)

Sądzą mi w rocznicę mego ślubu - 0.02.45 r. - na 10 lat ITL, 5 lat zsyłki, 5 lat pozbawienia praw - z artykułu 03, p.1a - białoruskiego kodeksu karnego. Byłam sądzona osobno /nie z grupą/.

26 maja wywieziono mnie do Mińska. Zakończenie wojny przeżyłam w więzieniu. Słychać było strzały, wiwaty, wiedziliśmy co się dzieje i miałyśmy tego dnia nadzieję, że będzie amnestia, bo przecież sądzono nas tylko za walkę z Niemcami.

W twierdzy w Mińsku siedziałam chyba miesiąc i potem nas przewieźli do punktu przesylnego w Orszy. tam byłm też ok. miesiąca i stamtąd wywieźli nas do obozu w ~~Or~~ Chocieniczach /Litwa/ - na lato. Pracowałyśmy tam jako zwierzęta pociągowe: nosiliśmy snopy, kopałyśmy sztuczne jezioro /nie wiem czy kiedykolwiek powstało/, nosiliśmy drewno na plecach. Koni nie było. Kiedyś przywieźli dwa konie, to mysmy je zjadły. W Chocieniczach pracowałam też jako kucharka. Większość kucharek obozowych to były kryminalne, które miały niedaleko rodziny, więc dużo kradły. Panował wtedy straszny głód. Wykopując marchew jadałyśmy jej tyle, że ja byłam zupełnie żółta. Część marchwi zostawiałyśmy w ziemi, a mieszkańcy przychodzili w nocy i wykopywali ją. Kryminalistkom rodziny przynosiły paczki - z plackami z ziemniaków i obieżyn. Na wsi był chyba gorszy głód niż w obozie. Dostawałyśmy zupe i rybę - soloną "kilkę" z robakami, nikt jej nie jadł, bezpieczniej było jeść tylko zupe. W kuchni pracowała jedna Polka z Mińska i ona zaproponowała mi pracę mimo, że nie umiałam gotować. Powiedziała jednak naczelnikowi, że pracowałam przedtem w restauracji, a wszystkie dziewczyny namawiały mnie do tej pracy. Naczelnik powiedział, że nie tyle mu chodzi o gotowanie, a o to, żeby nie było kradzieży. Szefem kuchni ~~był~~ i magazynu żywności był "błatnyj" - bez rąk. On kikutami potrafił robić befsztyki z koniny - oczywiście tylko dla obsługi obozu i pracowników kuchni. Ja byłam bardzo uczulona na zapachy i może to mnie uratowało, bo nigdy nie zjadałam tego co brzydko pachniało. Tej koniny też nie jadłam. Ja byłam głównym kucharzem na dziennej zmianie: brałam kaszę, wsypywałam do kotła

razem z mięsem lub rybą i gotowało się razem. Chodziło o to, żebym tej kaszy nie brała dla siebie - i nigdy nie brałam. Czasem jak przychodziłam do baraku i dziewczyny gotowały sobie kaszę z paczek to ją podjadałam. Pracowałam w kuchni aż do wyjazdu z Chocienicz i takim byłam dobrym kucharzem, że nawet mnie nie zapisali na etap do Urszy. Na ten etap sama się zapisałam i pojechałam ze swoimi dziewczynami.

Byłyśmy w Urszy drugi raz /do kwietnia 46 r./. Spotkałam tam wówczas dr Krzywobłockiego, którego znałam z partyzantki. Był psychiatrą, ale pracował w szpitalu jako normalny lekarz. On zwrócił mi uwagę, że skończyłam kurs PCK, więc mogę pracować w szpitalu jako pielęgniarka. Nie było tam żadnych leków tylko nadmanganian potasu i jakieś białe pastylki - na wszystko. A ludzie chorowali na biegunkę, czerwonkę itp. Chorzy ciągle prosili, żeby im dać jakieś lekarstwo, ale ja nic prócz wrzątku nie miałam. Codziennie wieczorem pod okno podjeżdżała fura i ładowano zmarłych wyrzucanych przez okno. Każdy miał kijek przy czepiony do nogi. Zawozili ich pod sopkę - na cmentarz.

Obóz był na obrzeżu Urszy, więźniów było tam ok. 5 tysięcy.

Wreszcie w 45 r. przywieźli chłopców z Powstania "arszawskiego, w mundurach, saperkach. Wsadzili ich do jednej celi z kryminalnymi, którzy ich natychmiast obrabowali i zbili tych, którzy nie chcieli oddać ubrań. Dyżurni napewno mieli w tym swój udział. Wkrótce ci młodzi chłopcy wyglądali jak "dochodiagi".

W kwietniu 46 też mnie nie zapisali na etap, ale pojechałam w własnej woli, bo wszystkie moje znajome dziewczyny miały wyjechać. Były tam: Danka Prandecka, Irka Krajewska, Tola Kierys, Loda Jasiukiewicz, Wera Hałaburda. Doktor Krzywobłocki przestrzegał mnie przed tym etapem - że zginę w tajdze. Po sześciu latach spotkałam go w Magadanie - był siwy jak gołąbek. Ucieszył się, że żyję. Potem wywieźli go w głąb Kołymy.

Wyruszyliśmy na tzw. Dalnij etap. Nikt nie wiedział dokąd jedziemy. Pojechaliśmy miesiąc w towarowym wagonie. Na szczęście w naszym wagonie nikt nie chorował.

Wyładowali nas w Buchcie nachodce. Był tam też transport ze Lwowa. Spotkałam Ziutę Paczosińską, Dzikę Bizanc, "elę Kozak /Mackiewiczową/ i inne. Po pewnym czasie załadowali nas na "Sowiecką Litwę " /czy " Lotwije" ? / i po 6 dniach przyłynęliśmy do Nagajewa.

Wreszcie w Orszy spotkałam jakąś kryminalistkę, która zapalała do mnie sympatią i powiedziała, że życzy mi, abym pojechała jaknajdalej - aby tylko nie do środkowej Syberii. -a Kołymie /w "Magadanie/ podobno potrzebni są ludzie, którzy coś potrafią robić. Tam przyjeżdżają tylko więźniowie i wolni z jakimś zawodem: "I jakby tobie udało się taki zawód mieć, który byłby tam przydatny, to uda ci się przeżyć, a jak nie - to zginiesz marnie". Wzięłam sobie to do serca i ta daleka podróż mnie nie przerażała. Słyszałam jednak o Kołymie - o okropnym mrozie, o kopalniach złota, ołowiu itp. Chłopcy, którzy tam pracowali już nie żyją, mimo, że niektórzy byli bardzo silni, np. mąż Krysi Zajączkowskiej - to był tur, a zmarł niedługo po powrocie do kraju.

W Nachodce obóz przejściowy był koszmarny /jak wszystkie obozy przejściowe/ - bardzo dużo ludzi, kryminalisci, zamknięte baraki, nie wolno było chodzić po obozie.

Po przewiezieniu nas do Magadanu ustawiono nas w dwurzędzie i pytano jaki kto ma zawód. Ponieważ Zdzicha Paczosińska w czasie wojny robiła drewniaki /z zawodu była architektem/ więc powiedziała, że obie będziemy cholewkarzami, ja napewno tego się nauczę. Wzdłuż szeregu chodziła siwa pani i pytała nas o zawód. Stało nas obok siebie 5 Polek /Loda Rasiukiewicz, Zdzicha, ja, Halina Pilawa i jeszcze jedna/ - i wszystkie odpowiedziałyśmy, że jesteśmy cholewkarzami. Ona na nas patrzy i pyta, czy my ruskie. Odpowiadamy, że jesteśmy Polkami. A ona do nas - po polsku. Była Polką z Leningradu, pracowała tam jako dyrektor działu dzieciennego w fabryce obuwia, a w Magadanie była głównym dyrektorem technicznym w "Promkombinacie". Nazywała się Helena Chodlińska.

Spytała nas, czy naprawdę jesteśmy cholewkarzami, my zrobiłyśmy niepewną minę, ale odpowiedziałyśmy, że chcemy się nauczyć tego zawodu. I zostałyśmy w "Promkombinacie". Pani Helena uczyła nas, że NKWD lubi donosy, ale

nie lubi donosicieli. ¹ to była prawda. ²my ze Zdzichą byliśmy trochę ro-
gate, ja nawet miałam pseudonim "Rzeczpospolita". Ale te dziewczyny,
które się puszczały /bo były takie/ zostały przez nas zupełnie odizo-
lowane. One robiły wstyd wszystkim Polkom. ³mysy się traktowały jako
ambasadorzy Polski, a one psuły nam opinię. Nam nie zależało na tym,
żeby sowieci nas lubili, ale żeby nas językiem nie szargali.

Niektórzy pracowali w brygadzie artystycznej /w KWCZ/ - teatrze, w któ-
rym były bardzo dobre siły - z Moskwy, z Leningradu - tancerki, spiewa-
cy, primabelrina z Odessy. ⁴Henia była pianistką, więc nie próbowała
gdzie indziej szukać chleba, bo w tym zespole im płacili - dawali kon-
certy dla wolnych. Do ⁵olski przyjechała z synem. ⁶mysy z nią tam
w ogóle nie rozmawiały i nawet na Wigilię nie zapraszałyśmy. ⁷Jej uko-
chany to był więzień - jakiś Tatar. Spotykali się w upodlających wa-
runkach: w beczkach po sędziach, stosunki przez dziurę w płocie, w
ubikacji itp. ⁸to było dla nas nie do przyjęcia, i tego nie rozumiem
do dziś.

II A

W okresie gdy pracowałyśmy w pracowni obuwia przychodziła ~~xxxxxxx~~^{xxxxxxx}
naczelnica obozu /w stopniu pułkownika - żona generała /nazwiska nie
pamiętam/. Wypytywała nowych za co kto jest sądzony, na ile itp.
Nasza nauczycielka /pani Helena/ poradziła nam, żebyśmy powiedziały,
że mąż Zdzichy - Zygmunt jest w ~~xxxxxxxxxxxxxxxx~~ na Kołymie, a ona
nie wie gdzie. Naczelnica wzięła od Zdzichy dane Zygmunta i po pewnym
czasie przyszedł ^{Ta 2} jego adresem. Wtedy dowiedziałyśmy się, że ~~Zdzich~~
Zygmunta wysłali na Czukotkę. I ta pomoc naczelnicy uratowała mu życie.
Zygmunt na Czukotce miał odmrożone nogi /mieszkali po przyjeździe w
namiotach/ i był tak zdesperowany, taka apatia go ogarnęła, że nie
chciało mu się żyć, zwłaszcza, że nie wiedział, czy Zdzicha żyje. ~~xxxx~~
⁹ekarz powiedział, że trzeba mu amputować palce, bo będzie gangrena.
Zygmunt nie chciał się zgodzić, było mu wszystko jedno. Po paru dniach
- Paczosiński ma oczy błyszczące, zgadza się na operację - wszyscy się
dziwią. Dopiero pielęgniarka zdradziła, że dostał telegram od żony
z ¹⁰kołymy.

Telegram wysłała na prośbę "dzichy Ania - nasza nauczycielka /aresztowana w 37 r., synek był w domu dziecka, mąż był inżynierem/. Ania też postarała się żeby przyjechał do Magadanu - i przyjechał w 52 r. jeszcze jako więzień. "rzedtem napisa= do Zdzichy, że ma szansę przyjazdu, więc myśmy śledziły każdy transport z Czukotki. Jak przywieźli Zygmunta, przszedł Zajcew i zawiadomił o tym Zdzichę. Zaczęliśmy się zastanawiać jak go sciągnąć do naszej zony, aby mogli się spotkać. Wymyśliłyśmy, żeby zaczął pracować w brygadzie cieśli, która naprawiała prycze w barakach. Nawet na to konto złamałyśmy w pracowni nogę od stołu. Przyszło pięciu stolarzy, w tym Zygmunt. Wyglądał okropnie - wychudzony, z podmrażanymi rękami. "ostawiliśmy ich, żeby mogli spokojnie porozmawiać. Jeszcze się potem spotykali w kotłowni. Wiedział o tym tylko nariadczyk /też więzień/, poza tym nikt z władz. " nariadczykowi zależało na dobrych stosunkach z nami, bo zawsze w pracowni jakies buty można mu było zrobić. W pracowni reperowałyśmy też kozuchy dla "ochry". przywozili nam na łaty stare kozuchy - czasem lepsze od tych, które się łatało. Myśmy robił z nich dla naszych chłopców rękawiczki na budowę, bezrękawniki. często udawało się zorganizować walonki z demobilu, chleb. Zygmunt był w obozie w Magadanie do końca wyroku, a po wyjściu na "wolność" wysłali go w tajgę do miejscowości Tała - były tam gorące źródła /do 96°/ i wszystkie domy ogrzewane tą wodą. Tam też zesłali Kazika ze Lwowa i jeszcze dwóch Polaków. Zbudowali sobie we czterech dom, mieli psa, polowali. "trzymałyśmy nawet od nich futerka na kołnierze. Dopiero kiedy Zdzicha wyszła na wolność /listopad 53 r./ pozwolili Zygmuntowi wrócić do Magadanu.

Po rozpoczęciu pracy w "Promkombinacie" zaczęłyśmy się uczyć cholekarkstwa. Potem zorganizowano pracownię w samym obozie i tam pracowałyśmy. Obóz był na $\frac{1}{2}$ -tym kilometrze /od "Magadanu/.

Pobudka była o 6-ej, szybko trzeba było się umyć, a o 7-ej wychodziło się do pracy pod konwojem - ok. 3 km od obozu. Najgorsza była pierwsza zima - była tak straszna purga, że chodziliśmy po dachach.

- tak zasypało drogę. Śnieg był mocno zbity od wiatru i ludzie robili w nim tunele między domami. Wiosną śnieg się bardzo szybko topił - niemal na oczach siadał w słońcu.

Koło Magadanu płynęła rzeka Kamieniuszka, w górze płukali w niej złoto. Jak był słoneczny dzień to kamieni świeciły złoto - od rozsianego złotego pyłu. ~~Na~~ Na zsyłce chodziliśmy na wycieczki nad Kamieniuszkę /zdjęcie/

Zorza polarna - to było zjawisko nie do opisania. Przeważnie pojawiała się na przełomie lutego i marca. Na wschodniej stronie nieba powstawało takie zjawisko jakby ktoś na mokrą szybę lał różnokolorową farbę - szybko się zmieniającą - od seledynowej do pomarańczowej. Dla mnie przyroda tam jest bardzo piękna.]

Na zsyłce chodziliśmy na borówki, które rosły na tle szarego mchu - bardzo pięknie wyglądały. Ten mech jest w lecie suchy jak słoma i bardzo łatwo się pali. Często były pożary, które w obozie jeździliśmy gasić. Strażacy kopali rowy, a my gasiliśmy ogień gałęziami.

Dzień obozowy tak wyglądał: pobudka o 6-ej rano, śniadanie /zupa rybna - pływają oczy, głowy, kręgosłupy - ryby nie widać, 600 g chleba, na obiad - 800 g. Na początku był biały, amerykański/. Szliśmy do pracy, która trwała 10 godzin. Obiad przywozili nam do pracy, w bańkach, tam podgrzewali. Przeważnie był to zupa /czasem na niedźwiedziu - okropna, cuchnąca/. Czasem obiad dostawaliśmy dopiero w zonie - po pracy. W obozie dawali słannik - wywar z karłowatych sosen - przeciwko skorbutowi. Było to gorzkie, cierpkie i po nim też miałam skorbut.

Pracowaliśmy w "Promkombinacie" do 7-ej wieczorem. Szliśmy tam posciel dla wojska i ochrony, fufajki, spodnie. W pracowni dla naczelników szyto ubrania, buty itp. Norma była. Ja wyrabiałam 150% i dzięki temu skrócono mi wyrok i wyszłam z obozu w styczniu 53 r.

W pracy był kiosk, w którym można było coś kupić, tyle, że nie mieliśmy pieniędzy. Dopiero przed samym moim zwolnieniem obóz przeszedł na tzw. "chozraszcziot" - zaczęto płacić za pracę tak jak wolnym, tyle że potrącano 25% na utrzymanie obozu, część na książeczkę, a do rąk dostawało się tylko 100 rubli. Resztę wypłacono nam jak wyszliśmy na wolność.

W obozie sprzedawano przecenione art. spożywcze, m.in. bardzo słony kawior, ale myśmy go kupowały, bo to było jedyne białko /jajek tam w ogóle się nie widziało/.

W "Promkombinacie" pracowałam dwa lata. Potem byłam w pracowni w zonie, gdzie szyło się tylko dla naczalstwa. Była tam pracownia krawiecka, szewska i cholewkarska. Poza tym byli stolarze, ślusarze. Mam od nich szkatułkę inkrustowaną i walizkę z dykty, które zrobili mi koledzy/

W baraku mieszkało ok. 300 osób. Prycze były piętrowe - na dwie osoby każda. Mnóstwo pluskiew, palono siarkę na blasze na środku baraku, zaklejało się okna na 24 godziny, potem myło się prycze gorącą wodą, bielilo ściany, a na następną noc - wyłazi "taka" z pomalowanymi plecami.

[W baraku była cała Wieża Babel: Rosjanki, Ukrainki, Litwinki, Estonki, Łotyszki, Węgierki, Rumunki. Czeszek nie było, ale w obozie byli Czesi - mężczyźni. Stosunki między nami były raczej dobre, zgodne. Żyłysmy ze wszystkimi w zgodzie, ale trzymałyśmy się razem Na ~święta Bożego Narodzenia zawsze któraś z nas otrzymywała opłatek, więc się nim dzieliliśmy. Ukrainki często częstowały nas cebulą lub czosnkiem z paczek. Konfliktów nie było.] W naszym obozie niewiele było złodziejek. bo ~~xx~~ już były "speclagry". Kilka jednak kryminalnych było i one bardzo nie lubiły Ukrainek, bo sobie ubzdurały, że one donoszą. Obok nas spała Gala Wozniesieńska, która miała już 6-ty wyrok za kredzieże itp. Niedale spała Maryjka ze Hwowa, Ukrainka - bardzo sympatyczna dziewczyna, z którą często rozmawiałyśmy, ale wtedy, gdy nie było Gali. Gala uważała, że Maryjka donosi. A to była nieprawda. Nas /mnie i Zdzichy/ te złodziejki nigdy się nie bały. Przychodziły, gadały, ale jak tylko podchodziła Ukrainka, to ją odganiały.

II B

Donosy - do "Uprea" obozu - były. W nocy przychodził żołnierz i wzywał do "Opera" Jedna z naszych Polek była jego sympatią, chodziła do niego, ale nie wiem czy donosiła bo z nią nie utrzymywałam kontaktu. A dziewczyna była bardzo ładna.

Materiałów ciekawych to ten "Oper" nie miał - najwyżej jakieś donosy o kradzieżach. Jak myśmy się czymś interesowały, to odbywało się to w tak ęcisłym gronie, że nigdzie dalej nie poszło.

W obozie była biblioteka, przyjeżdżało kino. Jednego roku chwalili Titę, na drugi - pokazywali jaki to bał drań, były filmy amerykańskie, rosyjskie. Polskiego żadnego nie widziałam. Kino przyjeżdżało co 2 tygodnie. Pamiętam film "Bambi", na którym byłyśmy ze Zdzichą 4 razy.

Można było wysłać jeden list na miesiąc, ale oprócz tego istniała poczta nielegalna. Otrzymywałam listy od matki. Ojciec zmarł w pół roku po moim aresztowaniu. Matka z siostrą były same - zastaszona. Nigdy im nie pisałam, że mi czegoś trzeba, pisałam, że jest mi bardzo dobrze.

Co nas utrzymywało w dobrej formie? - Cały czas wierzyłam, że wrócimy do Polski. To prostu wiedziałyśmy, że wrócimy. Najpierw minął rok, potem dwa, potem ma się nadzieję, że to będzie ostatni, może zdarzy się jakiś cud - i jakos się to przetrzymało.

Wiara bardzo nam pomagała. Jeszcze w celi ~~jakxsia~~ zbierałyśmy się i spiewałyśmy "godzinki". W obozie już nie, ale nie wierzyłyśmy, że nam się może coś złego stać. Siła ducha była tam może ważniejsza niż fizyczna. Jeśli się ktoś opuszczał - we wszystkim - w higienie, w ubraniu - to już był człowiek nad przepaścią, to już było niebezpieczne. Były oczywiście chwile załamania, czasem trochę łez, ale tego nikt nie widział. Grupowej rozpaczki ja nie widziałam.

Sk. Ma Na zsyłce nawzajem starałaimy się podciągać: chodziliśmy do teatru, kina, pracowaliśmy. Wódki nie wypijałam nawet kieliszka.

W obozie było takie nie pisane prawo, że nie wolno okazywać słabosci, załamania.

W naszym baraku było sześć Polek /Janka z Krakowa, z którą nie utrzymywałyśmy kontaktu, Halina Pilawa i inne/. W sumie przewinęło się kilkunastu Polek, które wywożono do tajgi. Myśmy uniknęły wywiezienia, bo byłyśmy specjalistkami - Zdzicha była projektantem, ja wykonawcą obuwia. Byłyśmy potrzebne i potrafiłyśmy wszystko zrobić.

Niedys przychodzi naczelnik obozu /Borylkow/ i pyta: "Pączosińska, wy ofi-

[Nas trzymała chęć przeżycia - biologiczna, ale nie był to patriotyzm. Mysmy chcieli przeżyć, był ten upór, ta wiara...Patriotyzm mógł się przejawiać tylko w godnym postępowaniu. Nie wolno było pozwolić, żeby nami pomiatało, np. żeby zwracano się do nas : "Ty, Polaczka" - to już było ubliżające określenie, tak jak na Ukrainkę "chamuszka". Rozmawiałyśmy z Rosjankami o Polsce i zawsze mówiłyśmy tylko o pozytywnych rzeczach - tak jak o własnym domu czy matce... Czasem o nas mówiono: "Zakazionne ? Polaczki" - noto dobrze, to znaczy, że czymś się wyróżniałyśmy.]

Nela Mackiewicz pracowała 15 lat w domu wariatów we Lwowie, mimo to była bardzo wesoła i wytrzymała...

Zależało nam, żeby o żadnej Polce nie mówiono w obozie: "o, to taka....." Nie chodziło o to, że wszystkie Polki są święte, w Polsce mnie to nie interesowało, ale tam to było co innego. Jak Polak okazał się złodziejem, to na wszystkich rzutowało. Mielismy w "Promkombinacie" taką sytuację: Przyjechał młody chłopiec /Leszek/, który przedtem należał do "Białego Orła" /tego proniemieckiego/ - takie "cielę". Poprosiłyśmy p. Helenę żeby go zostawiła u szewców - niech się nauczy jakiegos fachu. Mysmy go nie znały, ale litowałyśmy się nad nim, bo miał 19 lat. Po pewnym czasie wybuchła awantura: ukradł cztery pary zelówek i jeszcze go złapali! Pani Helena miała do nas pretensję, że tak za nim ręczyłyśmy. On w dodatku nie wiedział co zrobić z tymi ukradzionymi zelówkami. Wywieziono go w tajgę, a chyba przez rok mówiono: " etot wor, Polak" - ciągle o tym przy pominano, mimo, że tam wszyscy kradli. Ale złodziejem jest ten, którego się przyłapie. Inni mieli tam wszystko dobrze zorganizowane. A ten? - gdyby chleb ukradł, to bym rozumiała, bo pewno z głodu, ale tak?

cerskie polskie sapagi sdielajetie?" - Zdzicha mówi: "Sdielajemy". Poszliśmy do szewca, który był specjalistą od damskiego obuwia i pytamy go jak się robi cholewkę. Nie wiedział, ale w końcu znalazł się jakiś szewc Ukrainiec, który nam to powiedział. ^Yzrobiliśmy te buty - z ranta, na wymiar naczelnika. Na to on: "Wot dziewczęta - zołotyje ruki". Nie pozwolił dla nikogo innego takich butów zrobić - tylko on chciał takie mieć. Mysmy się nie przyznawały do tego dzieła.

Rewizje w obozie były częste. niektórzy dyżurni przyszedli, popatrzeli i poszli, ale byli i wredni. Mysmy się na nich mściły. Był taki jeden dyżurny - nieduży, chudy, prosił nas o skrócenie "gimnastiorki", która nam sięgała do pół uda. Nam nie wolno było tego zrobić na własną rękę - musiało to przejść przez naczelnika. Tym dyżurnym, którzy byli "ludscy" to same robiłyśmy takie poprawki, ale jak przyszedł taki wredny, który np. kopał kobiety, to mysmy żądały zezwolenia naczelnika. ^Ten mały chudy chodził i prosił, ale mysmy skróciły mu to ubranie dopiero jak kazał nam Borylkow. (naczelnik).

Wszystkie rzeczy szyłyśmy na maszynach, czasem w nocy. Norma była duża: kiedyś musiałyśmy obrębić 73 przescieradeł dziennie!

Za moich czasów już nie było takich okrutnych naczelników Dalstroju, o jakich się dawniej mówiło. Nawet w męskich obozach nie było bicia i znęcania się nad więźniami. Do końca mego pobytu w Magadanie przychodziły tam transporty więźniów. W każdym z nich byli Polacy. Nawigacja zaczynała się w czerwcu i takie transporty były dwa razy w czasie sezonu. Na naszym statku było podobno 4,5 tys. więźniów.

[Na "matierik" zwłaniali pojedynczo. Więźniowie przeważnie lecieli samolotem do Chabarowska. Większe grupy zaczęły odjeżdżać z Kołymy dopiero w październiku 55 r. - nasz transport był pierwszy.] Do tego czasu zwłaniani więźniowie pozostawali na zsyłce na Kołymie - oprócz tych pojedynczych wysłanych do różnych karjów w zależności od narodowości. Pierwszą zwolnienia były w 54 r. /i wyjazdy/, W naszym transporcie /październik 55 r./ było 600 Polaków - cały pociąg specjalny, który zatrzymywał się w Chabarowsku/.

Ja wyszłam z obozu 12 stycznia 1953 r. Łdzicha jeszcze została, bo była później aresztowana. Wyjście z obozu wyglądało tak: konwój wyprowadzał do komendantury, tam dawali papierek, że nie mam prawa opuszczać Magadanu, że jestem na zsyłce i że mam meldować się co 2 miesiące. Pytali, gdzie się będzie mieszkać i pracować. Przede mną zwolniła się Rosjanka, która ze mną pracowała i zaprosiła mnie do siebie. Jej mąż wyszedł z obozu wcześniej i załatwili sobie jakieś mieszkanie. Ale oni mieszkali w baraku, a ja nie chciałam w baraku. Mieszkałam u tej Rosjanki tylko miesiąc, a potem wynajmowałam mieszkanie u Rosjan poleconych mi przez Anię /nauczycielkę cholewkarstwa/. Mój gospodarz był sportowcem, a potem został dyrektorem Pałacu Sportów w Magadanie. Byli to bardzo łyczliwi, sympatyczni ludzie. Ona pochodziła z Kijowa, któregoś z jej rodziców było Polakiem. Zajmowałam u nich myślał pokój, w którym stało łóżko, etażerka, stół, dwa krzesła i wnęka na ubrania. Potem wstawiłam drugie łóżko jak wyszła Janeczka /Tkaczykówna?/. "a początku nie miałam garnków ani żadnych naczyń, natomiast miałam całe ubranie, które mi uszyli chłopcy: z koca - kurtkę, koleżanka Estonka - bluzkę, Czeszka gorseciarka - biustonosze. Nie chciałam chodzić jak ten dziad. Pracowałam w "promkombinacie", coś zarabiałem, więc ciągle się coś dokupywało. Chodziliśmy do teatru - z Edwardem Stefanowiczem i Cezarym. Oni pracowali w Biurze Projektów w centrum miasta /Cezary skończył Sorbonę jako inżynier, a po powrocie do kraju budował zapórę we Włocławku/ - więc zawsze kupowali bilety do teatru lub kina.

Wielu Polaków do mnie przychodziło po wyjściu z obozu - żeby im pomóc /m.in. Wacław Kopisto/. Gospodarz często pozwalał im nocować w swoim salonie. Ponieważ na początku zsyłki nie gotowałam, to gospodarz po powrocie z pracy zawsze pytał żonę czy ja już jadłam, a jeśli nie, to zapraszał mnie na obiad.

III A

W Magadanie Polacy często spotykali się ze sobą, pożyczaliśmy sobie nawzajem książki, dzieliliśmy się informacjami. Kiedyś Rosjanie przynieśli nam "Pana Wołodyjowskiego" po rosyjsku, ale nie mogłam tego

czytać, bo to tak jak Puszkina po polsku. Za to czytaliśmy dużo rosyjskiej starej literatury.

Dużo gorsze było życie na ["]posiołkach, - niebezpieczne i gorsze. Ale Magadan to było miasto. W Magadanie spotkaliśmy również Japończyków - byłych więźniów, którzy pracowali przy rozbudowie miasta. Później zastąpili ich nasi.

Poznaaliśmy tam panie - Rosjanki - aresztowane w 37 r. - inteligentne ale bardzo wystraszone. Kiedyś byliśmy na filmie "Serenada słonecznej doliny" - film z Sonią - mistrzynią świata w łyżwiarstwie przedwojennym. Po filmie spotkałyśmy te dwie panie, pytamy jak się im podobał. Jedna mówi: "amerykańska gadost'". Myśmy się zdumiały, idziemy dalej, ale już milcząc. Po pewnym czasie jedna z Rosjerek odeszła, a druga zwróciła się do nas: "przepraszam dziewczynki za to, że tak powiedziałam, ale inaczej ona by zaraz doniosła, że ja chwale amerykański film".

[Ania, która uczyła nas cholewskarstwa miała synka, którego zabrali do domu dziecka. Po zwolnieniu napisała z Magadanu do rodziny chcąc się dowiedzieć co się z dzieckiem dzieje. Podali jej adres domu dziecka i napisała do synka list. On odpisał /miał może 10-11 lat/, że nie ma rodziców, że jego rodzice są zdrajcami ojczyzny. Jego ojcem jest Stalin, a matką Związek Radziecki. Ania myślała, że dostanie ataku serca i więcej nie pisała. Wiedziała, że dziecko pisało to pod dyktando i że nie ma sensu utrzymywać kontakt. W 54 r. otrzymała od syna - już jako od dorosłego - list. Był kapitanem żeglugi wielkiej, mieszkał w Murmańsku, był żonaty i miał synka. List.... co za list.... wszyscy płakali - czytając go. Pisał, że przeprasza matkę za to wszystko, że to od niego nie zależało, że chce aby matka do nich przyjechała i razem mieszkała.

„Kobiety aresztowane w 37 r. różne rzeczy opowiadały. Był taki chłopak, który przeżył głód na Ukrainie - cała rodzina umarła. Nie było wolno chodzić ze wsi do miasta. Jego matka miała brata, który był fryzjerem w Kijowie i matka przed śmiercią poradziła synowi, żeby dostał się do tego wuja. I ten chłopaczyna - mając 10 lat - doszedł nocami do Kijowa.

Wujek przechował go i zameldował u siebie - dzięki temu przeżył.]

"szyscy Rosjanie okropnie bali się jakiegokolwiek władzy. A rozwarstwienie społeczeństwa było chyba jeszcze większe niż w Ameryce, bo tam można było żyć i wzbogacić się na koszt państwa.

W Magadanie były specjalne sklepy, mieszkania, domy murowane - dla urzędników "Dalstroju". Jedną z naszych Polek - pani Tosia - była gospodynią u generała Gruszy /geologa/ - pochodzącego z inteligenckiej rodziny. Zależało mu na gosposi, która umiałaby kulturalnie prowadzić dom. Pani Tosia była przed wojną żoną oficera KOP-u. Mąż jej zginął w 39 r. Ona z nami nie wróciła, możliwe, że w ogóle tam została. Pani Gruszowa pozwoliła jej zapraszać swoje znajome i myśmy tam przychodziły ... wykąpać się! ⁴rzeważnie chodziłyśmy do miejskiej "bani", ale u generała mogłyśmy wykąpać się w wannie. Gruszowie mieli 5-cio pokojowe mieszkanie pięknie umeblowane. Pani Gruszowa była bardzo miła i kulturalna. Tosia urządzała eleganskie przyjęcia, którymi wszystkie generalskie żony zachwycaly się i prosiły Gruszową, żeby im podobną gosposię znalazła. Tosia nawet mnie namawiała. Ale odmówiłam, tłumacząc, że mam za twarde kark i nie nadaję się do usługiwania naczelnikom - wolę pracę w "Promkombinacie".

Po powszechnej amnestii strach było wyjść na ulicę - takie były rozboje, gwałty, napady. Przy każdym domku musiał być zły pies. Mieszkałam wtedy u bardzo miłej i serdecznej Ukrainki, która też miała psa - wilczura syberyjskiego, którego przyniesli jej Jakuci. Nie mogłam się powstrzymać i kupiłam dla siebie psa. Tak go rozpuściłam, że nie bardzo się nadawał do pilnowania domu. Jakuci specjalnie tresują psy, żeby były złe.

Jakutów zepsuli sowieci - za wydanie zbiegłych więźniów płacono im spirytusem i papierosami, więc byli nastawieni na łapanie, a nie na pomaganie. Ucieczka z Kolumy była niemożliwa - na morzu każdą łódkę wypatrują trzy samoloty, a na lądzie przez tajgę, np. na zachód - przez Indygirkę - niemożliwe było przejść, bo bagna, komary, niedźwiedzie, a w zimie

70° mrozu.

Choroby! W czasie pobytu w Magadanie miałam skorbut mięśni /Zdzicha straciła 18 zębów/, a na tym tle straszne zapalenie spojówek. Nogi mi tak puchły, że żadnych butów nie mogłam włożyć. Leżałam na to 3 tygodnie w szpitalu. Dzięki Zdzisce, która pracowała w pracowni kra- wieckiej i miała kontakty z lekarzem i lekarce - Litwince /pani Helena/ dostawałam pastylki kwasu askorbinowego. Lekarz w przychodni miał żonę bardzo pазerną na stroje - wszystko u nas szyla. W tym czasie, gdy ja byłam w szpitalu Zdzicha uszyła dla niej jakies czapeczki, a ona zainteresowała się co się ze mną dzieje. Zdzicha jej powiedziała, że jes- tem w szpitalu, dogadzała jej jak mogła i dzięki interwencji tej żony lekarza dostałam 75 zastrzyków wapna i kwasu askorbinowego. I to mnie uratowało. Choroba wynikała z braku podstawowych witamin, bo głodu tam właściwie nie miałyśmy. Raz chorowałam tam na zapalenie płuc, począt- kowo leżałam w baraku - nikt nie wiedział, co mi jest. Potem zemdląłam i zabrali mnie do szpitala.

Pomijając sprawy losowe i Opatrzność - jakie jednostki przeżywały? - przede wszystkim nie łakome, bo to gubiło wielu ludzi. Np. litewscy policjanci /szaulisi/ byli to chłopcy 2-metrowe. Jak przywieźli ich do Chocienicz - to wymarli w mig, bo nie mogli się powstrzymać od jedzenia - jedli wszystko, nawet ze śmietników. A chuchra - przeżywały. W więzie- niu czy też w Orszy spotkałam starszą już żonę policjanta, która cierpiał- ła na katar żołądka i wszyscy mówili, że obozu nie przeżyje. Po pięciu latach przywieźli ją do Magadanu. początkowo nie mogłyśmy się poznać, ale ja jej przypomniałam Orszę i jej chorobę. Powiedziała, że wyleczyła sobie żołądek, jadła tylko to co jej dawali gotowane - wrzątek i owsian- kę. Jak się jadło tylko tę owsiankę, było się głodnym jak pies, nie jdało się surowizny, zepsutego mięsa czy ryb - i przeżywało się. Trzeba było sobie narzucić pewin رژیم - nawet w tym głodzie. O przeżyciu decydo- wał też ogólny stan zdrowia - ludzie słabi, chorzy na płuca raczej nie mieli szans. Klimat był ostry, ale zdrowy bo suchy. Np. co 10 dni chodził- ło się do łaźni - 4 km od miasta - w duży mróz - nawet nie kichnęłam.

Inne warunki były w tajdze - tam była ciężka praca i bardzo się marzło - ja na szczęście tam nie byłam.

Ważne też było nastawienie psychiczne: trudności należało pokonywać "z marszu". Cały czas "szare komórki" musiały pracować - jak sobie dać radę żeby przeżyć.

W Magadanie, na zsyłce, starałyśmy się ze Zdzichą o wyzew. Zdzicha z Zygmuntem /Paczosińscy/ wyjechali w czerwcu 55 r. samolotem, Edward Stefanowicz w lipcu - też indywidualnie, a my - reszta - jechaliśmy całą paką i było nam wesoło, Wyjechalismy chyba 10 października 55 r. statkiem "Feliks Dzierżyński" i w Polsce bylismy 3 grudnia. W Tarnopolu nadał depezę do męża o swoim przyjeździe, to koledzy Henryk i Poldek Świkła żartowali: "wój mąż to nigdy nie miał czasu pisać, to też nie będzie miał czasu przyjechać po ciebie". Po dwóch dniach bylismy w Żurawicy i pierwszy ze wszystkich przyjechał mój mąż i Zdzicha P. razem z Lodą Rasiukiewicz.

Przez całą drogę powrotną w pociągu prawie mnie spałam, bo notowałam nazwę każdej stacji. W Żurawicy położyłam się /dali nam pokoje w koszarach/ chciałam pospać, ale zaraz ktoś mnie obudził wołając: "Jaśka, twój mąż przyjechał".

W Polsce w pierwszym okresie odczuwało się radość, że się jest w kraju. A potem jakoś się żyło. Mój mąż był "internowany" przez sowietów po akcji wileńskiej, wrócił do Polski w 46 r.

*Spisane - listopad 1992 r.,
(pnie H. Orszepowska)
- 3 faimmi/*

*Przebrane,
do autoryzacji
- stycznia 1992 3r.*

Хабаровск край: г. Комсомольск-на-Амуре
Гом ул. 184-3
Правительство Государства Вьетнам
37 Недвижимость
У П. В. А. Е. К. И. С. Г. Т. Б.

на Дальнем Севере

12. Зубар 1953 г.

№ 127



УДОСТОВЕРЕНИЕ

(взамен паспорта)

Подпись лица:

Ильному *исполнению* *Дурдина*

12. Зубар *Светарьевне* *1922.*
фамилия, имя и отчество

в том, что ограничен в правах передвижения пределами
г. Владивосток

Дурдина Зинаида Ев
фамилия, имя и отчество
ул. Комсомольская 41-1
адрес

Дурдина Зинаида Ев
фамилия, имя и отчество
ул. Комсомольская 41-1
адрес

наименование органа МГБ _____ и обязан явной на регистрацию
Управление МГБ ДС

каждого *1-15* числа в _____

ствительно. _____

руководитель отдела УМГБ на ДС

Зубар
Светарьевна
Зубар

ПРОСВЕЩЕНИЕ
1954 г.



Jaia 1953v.

Ul zowej Karik Bremmachi / Suow

n/n

Zygnunt Pacosiniaki / Suow

n/n



Alfred Fryes „Bez” dowódca plutonu w II batalionie
„Kozic” (pan Bonpencior) 77 pp w okresie wojny
Rezydent, akcji walki w mieście w Lielnie
18 stycznia 1944 r. zginął w czasie odwrotu do S. urzędnic

Zginął w mieście w 1952 roku



— (podd) —
— 4115 —

Przebieg choroby AK Kępał podchorążym

Ludwik Bacuśnicki ze Śróbowo

16.10.1945

Arentkowskiej we Śróbowie w ~~1944~~ r.

osiedlowy nr. 10 lat Oborn specjalnego

18.02.1946

i 5-c lat rezerwi 55 54^{IA}, 54-II kod. Kaw USSR

Wypięziony nr. Cerkotkę do Elernię-
notu

W 1948 wypięziony do Magadanu

Na zsyłce od 1953 roku w Tańej

W 1954 r. w Magadanie

Wnień do Polski w czerwcu 1955 r.

Łmout w maju 1977 r.

Pseudonim „Muriś”



depoled Smilka „Adam“

Miškyj Sėjmenom 1953 g. 54 rok